

[...] Dłuższy czas szedłem Ludwigstraße<sup>199</sup>. Wszędzie było to samo: ludzie ze wstrętem mówili o wymordowaniu zakładników i z satysfakcją o wyzwolicielach, wcale nie gorzyli się tym, że wyzwolicielami mieli być Prusacy. Ledwie wróciłem do domu, około godziny jedenastej, kiedy bardzo blisko padło kilka strzałów, zaraz potem na dole szczęknął upadający rower. Podbiegłem do okna, obok roweru stali czerwonogwardzista, starszy pan, który chwycił go za ramię i trzymał, i młody mężczyzna, który zerwał mu z szyi szal nadziany pociskami; obok roweru, przy krawędzi chodnika, leżał karabin. Gwardzista wyrwał się, uciekał i w biegu ściągał czerwoną opaskę. To był początek mieszczańskiej kontrrewolucji.

Znowu wyszedłem, teraz byłem na służbie jako A.B. Harms poprosił mnie telegraficznie 8 kwietnia o wiadomości, od tego dnia pisałem dziennik rewolucji. Co prawda zdołałem wysłać tylko początek, ale wszystko inne gromadziłem, teraz droga znów będzie wolna. Kiedy zaszedłem na Ludwigstraße, panował spokój. Na Ministerstwie Wojny powiewała flaga niebiesko-biała, na Rezydencji niebiesko-biała obok czerwonej, na pałacu Wittelsbachów (główniej siedzibie rządu rad) biała płachta. Cywile, w których z dużym prawdopodobieństwem można było dopatrzeć się studentów i byłych oficerów, z karabinami lub rewolwerami w dłoni, z białą opaską, chusteczką albo bandażem na ramieniu, spieszyli pojedynczo lub w małych grupach nie wiem dokąd. Również żołnierze garnizonu nosili na ramieniu białe opaski, chociaż wczoraj jeszcze „zdecydowanie” opowiadali się

---

<sup>199</sup> Tu Klemperer na kilku stronach umieścił fragmenty wzięte bezpośrednio z relacji A.B. z 30 kwietnia i 2 maja 1919 r., poczynając od „wyraźnie słychać było toczące się pociągi”, przez „Ale zaraz potem »Rote Fahne« wezwała do oporu ze wszystkich sił”, „»Bez broni« było mocno podkreślone” i „wszędzie mówiło się, że Dworzec Wschodni miał zostać wzięty przez Prusaków już w nocy” do „To był początek »kontrrewolucji«”.

za Republiką Rad i nosili opaski czerwone. Zwrot dokonał się błyskawicznie, chociaż śladów wkroczenia oddziałów Rzeszy nie dało się jeszcze zauważyć. Spartakiści musieli więc zostać całkowicie unicestwieni. Zwycięzcy pojawili się dopiero wczesnym popołudniem. Dziś jest to utarty i doszczętnie zakłamany frazes dziennikarski, że „wyzwolona ludność z radością wita wkraczających żołnierzy jak wybawców”. Ale o wejściu wojska do Monachium 1 maja 1919 r. doprawdy nie mogę powiedzieć nic innego niż właśnie to. Przybyli wirtemberscy dragoni z czarno-czerwonymi chorągiewkami i bawarska ciężka kawaleria, i Freikorps Eppa ze złotą głową lwa na czarnym rombie na ramieniu, i pruscy huzarzy z Poczdamu z białą trupią czaszką na czapkach. I wszystkich witano okrzykami, machano im chusteczkami, podawano papierosy i cygara. Do prawdziwego festynu ludowego doszło przed uniwersytetem, gdzie oddziały pruskie zostały chwilowo zakwaterowane. Po raz pierwszy i jedyny w życiu – te wspaniałe sceny nie trwały nawet dwu dni – widziałem radosne zbratanie bawarsko-pruskie. Mężczyźni, kobiety i dzieci wspinali się na Łuk Triumfalny, malowniczo rozsiadali się w kucki na rydwaniu zaprzężonym w lwy, wywijali sztandarami, machali rękoma i krzyczeli. Wokół półkola przed uniwersytetem, gdzie zajechały samochody i zatoczono jedno zdobyczne działo, monachijczycy tłoczyli się i rozmawiali z wartownikami i stojącymi beczynniami w rozproszeniu żołnierzami – było to szczególnie zabawne zderzenie berlińskości i monachijskości. [...]<sup>200</sup>

<sup>200</sup> Dalej Klemperer powtarza opis huzara poczdamskiego (s. 160).

2 maja 1919

Wojsko przeszło teraz do akcji oczyszczania. Ale niestety: ta ogromna radość, która wczoraj, zwłaszcza w godzinach popołudniowych, stworzyła tu atmosferę prawdziwego święta majowego, co prawda zupełnie innego niż to, jakie wymarzyła sobie „socjalistyczna młodzież”, ci czternasto-osiemnastolatki, którzy chcieli masowo protestować przeciw wszelkim wstecznym rządóm, a zaliczali do nich też tutejsze Rady, święta, podczas którego Bawarczycy wiwatowali na cześć Prusaków, zawzięci antymilitaryści na cześć sprężystych żołnierzy, a zapewne też – *horribile dictu!*<sup>201</sup> – oficerów z prawdziwymi belkami, stalowymi hełmami i ciężkimi karabinami, otóż ta radosna feta wyciszyła się pod wieczór, a jej nastrój dziś nie chce już w pełni powrócić, chociaż nadal tysiące chusteczek powiewają na powitanie kolejnych wkraczających oddziałów; bowiem od popołudnia i przez całą noc trwały starcia, a teraz, w piątek, poczynając od pojedynczych potyczek, doszło do regularnej bitwy, nieprzerwanie trwa zaciepła walka, co chwila wstrząsają powietrzem wybuchy min i granatów, zagłuszając dzikie grzechotanie karabinów maszynowych i trzask wystrzałów. Bardzo dużo krwi płynie w centrum miasta, gdzie rozpaczliwie bronią się spartakiści, bo poddając się teraz, chyba na nic nie mogliby już liczyć. Rankiem 1 maja po raz ostatni wydawało się, że walki uliczne zostały miastu oszczędzone. Strajk generalny ogłoszono dzień wcześniej, nawiasem mówiąc, zrozpaczeni właściciele małych sklepów przestrzegali go nie bardziej niż poprzednio. Znów zamiast gazet mamy dziś dwa obwieszczenia na murach. Pierwszy plakat wyraża oburzenie rządu dokonany w nocy mordem na zakładnikach: rząd nie jest temu winien. Niewinny po tym, jak przez długi czas podburzał, niewinny po tym, jak wydał bezbronnych ludzi na łup systematycz-

<sup>201</sup> *Horribile dictu* – (łac.) strach powiedzieć.

nie rozbastwianego motłochu! W tej chwili wciąż jeszcze nie znamy nazwisk wszystkich zamordowanych, ciała są potwornie zmasakrowane. Ale wiemy, że wśród tych „kapitalistów” i „arystokratów” są sekretarz kolei i nauczyciel gimnazjum i że jest tam też jedna kobieta. Mówi się też o Döderleinie<sup>202</sup>, genialnym ginekologu, który tak wielu ludziom pomógł... W drugim obwieszczeniu niewinny rząd stwierdził, że może się wydawać, jakoby idea rad została zdeptana przez brutalną przemoc wojskową. Ale idea nie umiera (a tylko zabija!), a na znak tego robotnicy i żołnierze niech przyjdą bez broni na demonstrację na Błoniach Teresy. „Bez broni” było mocno podkreślone, przez co wszystko to wyglądało na trwożliwą kapitulację; z wyrażaną powszechnie wściekłością z powodu haniebnego mordu<sup>203</sup> mieszało się jednak uczucie ulgi i satysfakcji: wszędzie mówiło się, że Dworzec Wschodni miał zostać wzięty przez Prusaków już w nocy, a oddziały wyzwolicielskie w ciągu kilku godzin wkroczą bez walki. Około jedenastej zaczyna się terkot na Ludwigstraße, a na sąsiedniej Schellingstraße, pod moim oknem, przebiegają wystraszeni ludzie. Zaraz potem nadjeżdża, niczego nie podejrzewając, czerwony gwardzista, zostaje ściągnięty z roweru, starszy pan zrywa mu jednym szarpnięciem torebki na naboje, jakiś młody człowiek zdejmuje mu przez głowę karabin, zabiera naszpikowany nabojami szal, strąca czapkę i tak go zostawia, ostupiałego ze zdumienia. To był początek „kontrrewolucji”. Kiedy wyszedłem z domu, jej pierwszy poryw już minął. Ude-

<sup>202</sup> Albert Döderlein (1860–1941), ginekolog; 1897 profesor w Tybindze, od 1907 do emerytury w 1934 r. profesor w Monachium w katedrze, którą objął po odejściu na emeryturę Friedricha [Franza – popr. tłum.] von Winckela. Döderleina nie było wśród ofiar mordu na zakładnikach.

<sup>203</sup> Żołnierze Gwardii Czerwonej, których komendant, marynarz Rudolf Egelhofer, od 29 kwietnia sprawował najwyższą władzę w Monachium, dla odstraszenia zbliżających się do miasta oddziałów rządowych i Freikorpsów zastrzelili 30 kwietnia 1919 r. dziesięcioro aresztowanych uprzednio zakładników, wśród których byli też członkowie volkistowsko-antysemickiego Towarzystwa Thule.

rzył szybko i z niebywałą skutecznością. Na Ministerstwie Wojny już powiewała flaga biało-niebieska, na Rezydencji biało-niebieska nad czerwoną, a na pałacu Wittelsbachów biała płachta. Wszystko w rękach białych? Skąd przyszli tak zagadkowo szybko? Bowiem oddziałów spoza miasta wcale jeszcze w Monachium nie było, a burżuazja została przecież całkowicie rozbrojona. Więc jednak nie tak całkowicie. Niektórzy zdołali schować karabiny, a teraz je wyciągnęli. A potem oddziały. Tutejsi saperzy zawsze przyprawiali władzę rad o ból głowy; studenci, kupcy, mieszczenie – to wszystko konspiruje, wyczekuje odpowiedniego momentu. A „przyboczni”? „Przyboczni” znów ogłosili, że są „neutralni”, tacy neutralni, że można było zabrać im broń z koszar. Było to bardzo, bardzo osobliwe. Rozbrojony pod moim oknem gwardzi-  
sta był ostatnim mężczyzną, którego widziałem z czerwoną opaską na ramieniu; od tej chwili spotykałem już tylko żołnierzy z białymi opaskami, często zrobionymi naprędce z bandaża. Ale częściej nawet niż żołnierzy spotykało się cywilów – częściowo z twarzy, częściowo po nienaganych, wysokich skórzanych sztylpach można było w nich rozpoznać studentów, także byłych oficerów – z owiniętą wokół ramienia chusteczką i przewieszoną przez ramię flintą. Niektórym wystawał z kieszeni płaszcz rewolwer, inni trzymali go w pogotowiu w dłoni. Wokół nielicznych uzbrojonych gromadził się przeważnie pochód nieuzbrojonych, młodych i starych, wśród mieszczan widziało się też robotników, i na czele każdego takiego pochodu niesiono biało-niebieską chorągiewkę, a tam, którędy przechodził, pojawiali się w oknach wiwatujący ludzie, powiewały chusteczki, wywieszano sztandary, biało-niebieskie, nie czerwone!, jak po wielkim zwycięstwie, jak na spokojnym ludowym festynie. A to świąteczne ożywienie jeszcze narastało. Wczesnym popołudniem wjechały konno pierwsze oddziały: ciężka kawaleria bawarska przez Barer Straße. Nie witano ich tak, nawet kiedy wracali z wojny. Punkt kulminacyjny festyn osiągnął przy Bramie Zwycięstwa

i przed sąsiadującym z nią uniwersytetem, oddzielonym od ulicy szerokim półkolem. Tutaj zmierzały oddziały pruskie, chwilowo kwaterowane na uniwersytecie. Mężczyźni, kobiety i dzieci wspinali się na Bramę, machali, powiewali sztandarami, kucali malowniczo na rydwaniu zaprzężonym w lwy. A na dole przy wjeździe i koło posterunków przed półkolem, które zajęły samochody i zdobyte działo, ludzie tłoczyli się i gadali z żołnierzami, dawali im papierosy, pytaniom i opowieściom nie było końca. I w tłumie wciąż się słyszało: „To niby Prusacy, ale nasi wyzwoliciele”. Jeden z wartowników, huzar poczdamski spod znaku trupiej czaszki, z licznymi orderami, w stalowym hełmie na głowie i darowanym papierosem za uchem, mówił w nieskazitelnym dialekcie berlińskim, że oni wszyscy są ochotnikami i znają taki tumult już z Berlina i skądinąd, że są wśród nich też ludzie starsi, leśniczy z siwymi brodami do pasa, ale człowieku, jak oni idą!, że przyjechali z Berlina dwa dni temu, a pod Schleißheim spuścili spartakistom tęgie lanie, stamtąd pochodzi ta haubica, a w Monachium jest o wiele piękniej, niż myśleli, ludność nie traktuje ich ani trochę wrogo – przeciwnie! Rzeczywiście, przeciwnie. Można by sądzić, że wróciły lepsze czasy, a nawet niemal można było nabrać nadziei na piękniejsze przyszłe czasy, tak serdecznie układały się tu stosunki między cywilami a wojskowymi i – wciąż to trzeba podkreślać – między mieszczanami a pruskimi oficerami. Każdego witano, pozdrawiając, machając, wołając, witano spojrzeniem i papierosami, podziękowaniami i wiwatom nie było końca. Ale potem przychodziła ludziom na myśl przyczyna tego patriotycznego poruszenia, rządu komunistów w Monachium, żalostna rola mieszczaństwa, słabość dawnego, doprawdy nie własną mocą zwycięskiego rządu – i w radosny nastrój wsaçała się spora dawka goryczy.

Później, od godziny czwartej, coraz bardziej też przypominano nam o powadze sytuacji. Miasto bynajmniej nie było jeszcze zdobyte, centrum zajęli komuniści. Podczas gdy ra-



dosna rzeka ludzka płynęła przez Ludwigstraße i z wielką satysfakcją czytano obwieszczenie rządu Hoffmanna, że oddziały bawarskie pod generałem von Möhlem<sup>204</sup> i pruskie z podpułkownikiem Ovenem<sup>205</sup> wkroczyły tylko po to, by przywrócić porządek, i zapowiedziane zostały stan wyjątkowy i podstawienie pociągów z żywnością, jednocześnie dochodziły do nas coraz silniejsze i coraz częstsze odgłosy detonacji. Później wypuściłem się na jeszcze jeden rekoniesans w kierunku Karlsplatz. Wszędzie grupy ludzi, którzy cofali się, ilekroć wycie i huk przybliżyły się za bardzo, aby potem znów wychylić nosa, niektórzy zdecydowani lub z jakiegoś powodu zmuszeni posuwali się dalej naprzód, w okolicy dworca kolejowego widać było czarny dym. I coraz więcej oddziałów w barwnych stalowych hełmach, żołnierze

---

<sup>204</sup> Arnold Ritter von Möhl (1867–1944), bawarski generalmajor (generał brygady); jako głównodowodzący utworzonego na początku 1919 r. Bawarskiego Dowództwa Armii, ale faktycznie podległy pruskiemu generałowi Ernstowi von Ovenowi, spacyfikował monachijską Republikę Rad i ustanowił dyktaturę wojskową, która do sierpnia 1919 r. rządziła za pomocą stanu wyjątkowego; 14 marca 1920 r. podczas puczu Kappa pod naciskiem Reichswehry wyznaczony na państwowego komisarza Bawarii; w 1923 r. wskutek nominacji na głównodowodzącego Komendy Grupy II w Kassel odsunięty od polityki wewnętrznej Bawarii; w 1924 r. w randze generała piechoty zwolniony z Reichswehry.

<sup>205</sup> Ernst von Oven (1859–1945), pruski generał piechoty; faktyczny głównodowodzący utworzonego na początku 1919 r. w porozumieniu z rządem Rzeszy Bawarskiego Dowództwa Armii, którym formalnie kierował bawarski generał brygady Arnold Ritter von Möhl; Oven kierował operacjami przeciwko bawarskiej Republice Rad; 3 maja 1919 r. oddziały Bawarskiego Dowództwa Armii przejęły kontrolę nad Monachium; w ciągu następnego tygodnia życie straciło tam ponad 600 ludzi. Po zakończeniu walk Bawarskie Dowództwo Armii sprawowało władzę wojskową w Bawarii, ale już 11 maja 1919 r. zostało włączone do Reichswehry jako Dowództwo Grupy 4. Od 1922 r. Ernst von Oven był głównodowodzącym Dowództwa Grupy 1. Reichswehry. Niekiedy jako szef operacji Reichswehry przeciw bawarskiej Republice Rad wymieniany jest omyłkowo Burghard von Oven (1861–1935), zdymisjonowany w 1920 r. w randze generała piechoty.

zakładający blokady, zmierzający na teren walk. Wieczorem słyszeliśmy oddziały maszerujące ze śpiewem jak w 1914 r. Huk i grzmoty wciąż jeszcze nie ustawały, ale wszędzie spodziewano się, że następny dzień przyniesie spokój. Miało przecież nadejść jeszcze 35 000 ludzi, opór był teraz, kiedy w Monachium stała cała armia i dziewięć dziesiątych miasta wiwatowało na cześć wyzwolicieli – a to wiwatowanie nie jest frazesem gazetowym, kłamstwem jakiegoś burżuazyjnego pisma, mogę na to przysiąc po stu obserwacjach i mając porównanie z przyjęciem Republiki Rad i jej demonstracjami! – opór był przecież bezsensowny. A mimo to dziś do późnego popołudnia, kiedy piszę te słowa, dosłownie szaleje zgiełk bitewny. Nad Monachium krąży szwadron samolotów, kierując ogniem, sam ostrzeliwany, zrzuca bomby oświetlające; raz dalej, raz bliżej, ale nieustannie wybuchają miny i granaty, że aż domy drżą, po tych eksplozjach słychać grad z karabinów maszynowych, przeplata się z nim terkończący ogień piechoty. A tymczasem Ludwigstraße maszerują i jadą na ciężarówkach i konno coraz to nowe oddziały z miotaczami min i armatami, pojazdy zaopatrzenia, kuchnie polowe, niekiedy z muzyką, przy Bramie Zwycięstwa zatrzymuje się kolumna sanitarna, w każdą ulicę wchodzi silne patrole i oddziały rozmaitych formacji, a we wszystkich zakątkach, gdzie można się skryć, ale i coś zobaczyć, tłoczy się publiczność, często z lornetkami teatralnymi. Kiedy pojawia się gazeciarski „Post”, dochodzi do przepychanek, czasem do bójki, bo egzemplarzy zawsze jest niewiele. Mnie jeszcze nie udało się zdobyć żadnego. A kiedy ktoś wydaje się podejrzany – ma książkę Spartakusa! albo żal mu Czerwonych, no, mój kochany, tak być nie może! – zaraz dochodzi do rękoczynów albo denuncjuje się takiego pierwszemu z brzegu patrolowi, chociaż w przypadku najenergiczniejszych patriotów można by niemal przysiąc, że jeszcze wczoraj zamiast białej albo niebiesko-białej opaski nosili czerwoną. Potem jest scena aresztowania i zainteresowanie wszystkich sku-



pia się na tym *intermezzo* – aż do kolejnego gromkiego wybuchu, który przypomina o bitwie.

Cóż, długo nie może już ona szaleć, ale opór trzeba do-  
szcześnie zdusić, jutro odbędzie się chyba co najwyżej akcja  
oczyszczania. Ale właśnie od tego wszystko będzie zależało:  
bowiem nie radziłbym rządowi Hoffmanna zaufać zmianie  
opaski na ramieniu – ani w garnizonie, ani wśród „uświa-  
domionych klasowo” Niezależnych i spartakistów. Już dziś  
słyszałem, jak w obozie sowieckich idealistów, tych wokół  
Landauera, który ani od Hoffmanna, ani od Leviena nie mógł  
oczekiwać niczego dobrego, zresztą już został aresztowany,  
otóż słyszałem, jak ci niewyuczalni ideologowie mówią, że  
zapaść gospodarki nie ma znaczenia, a prawdziwa Republika  
Rad (która nas tak pięknie, niewinnie pięknie pogrążyła w tej  
mieszance śmieszności i zbrodni!) będzie świętować zmar-  
twychwstanie trzeciego dnia po odejściu gwardii Noskego.  
Sądzę, że aby do tego nie dopuścić, potrzebne są trzy posu-  
nięcia. Pierwsze jest oczywiste, drugie co najmniej tak samo  
konieczne, a trzecie najważniejsze. Pierwsze nazywa się roz-  
brojenie, całkowite rozbrojenie komunistów i Niezależnych,  
drugie: samoobrona obywatelska, a trzecie: dymisja Hoff-  
manna, któremu każda, ale to każda strona ma do wybacze-  
nia więcej, niż w sprawach polityki wybaczyć można. Mówi  
się, że Auer ma się znów jako tako<sup>206</sup>. A czy wśród bawar-  
skiego mieszczaństwa nie znajdzie się w końcu prawdziwy  
mężczyzna, przynajmniej jeden? Bo trzeciego mogłoby wy-  
stawić chłopstwo. Potrzebujemy trzech mężczyzn: mocnego  
socjalisty większościowego, demokraty, który pozostanie na  
posterunku nawet wtedy, kiedy słyhać strzały, i „czarnego”,  
który dokładnie wie, czego chce rolnik i czego chce katolicki  
mieszczanin w Bawarii. I jeśli takiej koalicji nie dostaniemy,  
to zapewne nie pomoże nam żadne wsparcie militarne ze  
strony Rzeszy i żadna dyktatura wojskowa, czy będzie trwa-

<sup>206</sup> Por. przypis 142.

ła osiem dni czy osiem tygodni, czy pod komendą generała bawarskiego czy niebawarskiego.

A.B.

*4 maja 1919*

Ciągle jeszcze gdzieś terkoczą strzały, a to na sąsiedniej ulicy, a to z najbliższych dachów; wciąż jeszcze słychać gdzieś „wolna droga!”, potem ludzie biegną, ale już dawno nie tak lekko i szybko jak przez dwa pierwsze dni walk. Przyzwyczaili się całkowicie do tego stanu rzeczy, do rozniecanych jeszcze tu i ówdzie walk ulicznych, zmieniających się blokad, fantastycznego życia na wojnie. Co wcześniej byłoby wydarzeniem i wywoływało niekończące się opowieści, teraz przyjmowane jest jako oczywistość, obojętnie. To dziwne wkraczanie coraz to nowych oddziałów: najpierw maszeruje piechota w stalowych hełmach w dwu długich szeregach po obu stronach ulicy, tuż przy murze, dając sobie nawzajem krycie, gotowa do strzału, żądając zamknięcia okien tam, gdzie coś wydaje się podejrzane; następnie w dość znacznym odstępie posuwają się artyleria, zaopatrzenie, służba medyczna, wszelkiego rodzaju działa i sprzęt; hełmy pomalowane w matowe plamy. Pomieszanie plemion: obok Prusaków i Bawarczyków wielu Wirtemberczyków (teraz wkroczył też korpus Eppa), na lancach ułanów wirtemberskich łopocą dekoracyjnie czarno-czerwone chorągiewki. Przyjazne, ale energiczne żądanie legitymacji w rozmaitych dialektach na najrozmaitszych rogach ulic... Wszystko to jest teraz samo przez się zrozumiałe. Tylko centrum właściwej bitwy, Karlsplatz i okolice dworca kolejowego, wciąż przyciąga tysiące mieszkańców i jest przedmiotem szczegółowych komentarzy. Żeby tylko nie rozszerzało się to już dalej! Spalony sklepik na środku placu, obok słup ogłoszeniowy, do którego wnętrza wrzucono granat, zniszczona więźba dachowa po-

tężnego gmachu piwiarni Mathäser, niezliczone białe ślady kul na szarych domach, szczególnie na Pałacu Sprawiedliwości, któremu pocisk przebił kopułę, przedziurawione szyby w oknach, rany po granatach na kanciastej wieży kościoła ewangelickiego i gruz na placu na jego tyłach, zestrzelona rynnna, pogruchotany słup latarni i wszędzie postrzępione kłębowiska zwisających kabli. Między tym wszystkim żołąnierz w wojennym rynsztunku, na każdym kroku ustawione na ziemi karabiny maszynowe, długa taśma z nabojami włożona i gotowa do użycia, a kiedy podejść bliżej do niewinnej ciężarówki, która przedstawia się jako pojazd hurtowni sera i masła, to także ona ma gotowy do użycia karabin maszynowy. Żadne kino nie zdoła pokazać większych sensacji. Do tego ciągle słychać tu i tam terkotanie. A każda sensacja jeszcze niebotycznie urasta w oczach podnieconej publiczności. Rozmowy, debaty, oskarżenia, ucieczka podejrzanego, który oczywiście musi być spartakistą, aresztowanie. Potem się go odprowadza, otaczają go uzbrojeni ludzie, przynajmniej jeden grozi pistoletem, każe mu trzymać ręce w górze, on krzyżuje je na głowie – wygląda to groźnie i pięknie, rekompensuje zamknięcie kin.

Tak więc choć całe Monachium jest już zdobyte, bardzo daleko nam jeszcze do normalnego życia. Co prawda wczoraj, 3 maja, znowu mieliśmy gazety, prawdziwe, niecenzurowane, mieszczańskie gazety, po raz pierwszy od 7 kwietnia, dlatego zamieściły nawet kalendarium wydarzeń ostatnich tygodni, ale jak dotąd są to tylko pisma lokalne, bo nadal nie działa poczta, nie wiemy, co dzieje się na zewnątrz, nie możemy też przekazać dokładnych wiadomości o naszej sytuacji, a jedno i drugie jest odczuciem równie przykrym, wykreśla człowieka z bieżącego życia.

Nie da się jeszcze wyraźnie określić, co będzie punktem wyjścia nowego porządku politycznego po tej krwawej katastrofie. Staro-nowy rząd stara się jedynie wytłumaczyć społeczeństwu, że to nie „białe gwardie” (dobrze zrobiliby,

dodając: i nie po prostu „Prusacy“!) pokonały spartakistów, ale że „socjalistyczne oddziały socjalistycznego rządu” przybyły, niosąc wolność i ład. Wobec panującego tu pomieszania pojęć trzeba to często i mocno podkreślać. Bowiem strona pokonana postępuje się najbardziej prostackimi plotkami i insynuacjami. Głosi na przykład, i wielu temu wierzy, że „w całych Niemczech” akurat w dniu zdobycia Monachium (!) została proklamowana Republika Rad, a Noske ma teraz oparcie już tylko w Monachium! Rząd zapewnia też, że będzie „zakotwiczał” rady zakładowe, ale o formowaniu samoobrony obywatelskiej do dziś jeszcze nie wspomniał ani słowem. A przecież samoobrona obywatelska jest tu i teraz najważniejsza. Albo niezwłocznie się ją powoła, albo wkrótce, kiedy tylko odejdą oddziały wojska, odegramy kolejny akt republiki sowieckiej. Na Schwabingu jest przecież jeszcze tylu zdolnych ludzi, a czerwone opaski na ramię szybko znów się znajdą. Podoba mi się moje Monachium. Powinno nosić zaszczytne miano Małego Petersburga.

*Wieczorem.* Ojczyzna definitywnie uratowana: wszystkie partie mieszczańskie ogłaszają piękną odezwę, mówią o jedności, pracy i chlebie i zdecydowanie opowiadają się za rządem Hoffmanna. Czy można wymagać większych czynów? Poza tym, ponieważ nie jest to teraz zakazane, Freikorps Eppa zachęca do wstępowania i wygląda na to, że zwraca się zwłaszcza do społeczności akademickiej. Mówiło się ostatnio, że uniwersytety w Bawarii zostaną zamknięte, aby dać studentom okazję do zaciągnięcia się do wojska. Stracony semestr zostanie im zaliczony. Nie potrafię uznać tego za sprawiedliwe, także w wielu studentach, skądinąd bardzo, a nawet żarliwie patriotycznych, budzi to gorycz. Od lat właśnie studenci wciąż są kozłem ofiarnym; co im w końcu przyjdzie z „zaliczenia” tych wszystkich semestrów, w których nie odbywali studiów? Tyle się mówi o sprawiedliwym rozkładaniu wszystkich ciężarów państwowych – gdzie tutaj sprawiedliwość? Również szwabski Freikorps Wolfa wywie-

sza ogłoszenia werbunkowe: oprócz zmiennego wynagrodzenia oferuje jeszcze 10 marek dziówki i ośmiodniowe wypowiedzenie za porozumieniem stron. Jest też obwieszczenie naczelnego dowódcy bawarskiego Möhla, który dziękuje oddziałom z północnych Niemiec i przestrzega porządnym obywateli, żeby nie dali się podburzać przeciw Prusakom; nie jest prawdą, pisze, jakoby Prusacy przejadali żywność przeznaczoną dla Monachium, mają ze sobą własny prowiant. Wolno mi skonstatować, że ludzie niemal bez wyjątku z oburzeniem przyjmują wiadomość o próbie nastrajania opinii publicznej przeciw Prusakom; słyszę kilkakrotnie: „Ale wstyd!”. Jednak kiedy samochód pancerny z czarno-białym sztandarem i białymi trupimi czaszkami poczdamskich huzarów przejeżdża Ludwigstraße, ludzie odprowadzają go wzrokiem w milczeniu, kiedy zaś pokazują się wirtemberscy dragoni z czarno-czerwonymi chorągiewkami, dużo, dużo chusteczek powiewa...

Przez cały ten ciepły dzień wiosenny ludzie w całym mieście byli na nogach. Znowu tyle można było zobaczyć, prawie jeszcze więcej niż wczoraj, bowiem napływ oddziałów wciąż nie ustaje. Muzyka i mała parada na Ludwigstraße i koło Feldherrnhalle, ludzie na ulicy czyszczą baterię dział, żołnierze w bramie wjazdowej czyszczą karabiny... Szczególnie charakterystyczne było zdarzenie na placu Goethego. Stała tam groźna armata. Naprzeciw niej przechodził znaczny oddział wojska – kawaleria, piechota, artyleria. A inną ulicą powoli zbliżał się do tegoż placu dziwny kondukt żałobny: dwie ciężarówki, karabiny maszynowe z przodu i z tyłu, pomiędzy nimi trumny, na nich i po bokach aut kwiaty, z przodu flaga wirtemberska, ze wszystkich stron żołnierze, niektórzy z karabinami gotowymi do strzału. Tłum, który właśnie głośno wołał do wkraczających oddziałów, teraz obrócił się w milczeniu w stronę uzbrojonych karawanów, mężczyźni zdjęli czapki. Wartownicy przy armacie na nic nie zwracali uwagi i stali spokojnie obok niej...